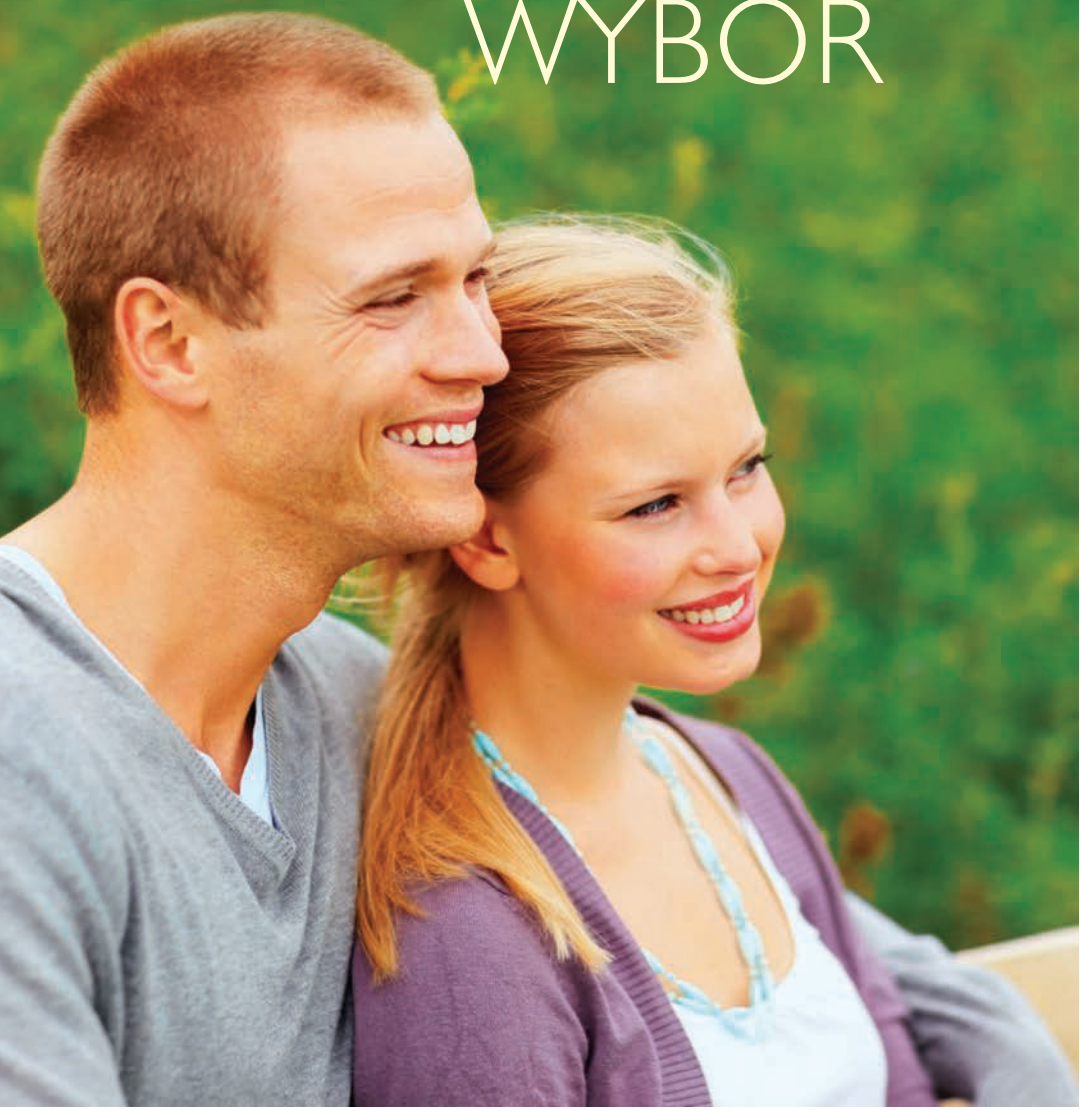


NICHOLAS SPARKS

WYBÓR



Prolog

Luty 2007

Historie są równie niepowtarzalne jak ludzie, którzy je opowiadają, a do najciekawszych należą te, które mają niespodziewane zakończenie. Przynajmniej tak zwykł mawiać ojciec Trávisa Parkera, kiedy ten był dzieckiem. Travis pamiętał, jak wieczorem tata przysiadł obok niego na łóżku, a jego twarz rozjaśniała się w uśmiechu, gdy chłopiec błagał go o jakąś opowieść.

— Jaką historię chcesz usłyszeć? — pytał ojciec.

— Najciekawszą na świecie — odpowiadał Travis.

Przeważnie tata siedział przez kilka minut w milczeniu, po czym w jego oczach pojawiał się błysk. Obejmował Trávisa ramieniem i doskonale modulowanym głosem zaczynał opowiadać historię, która nie pozwalała chłopcu zasnąć jeszcze długo po tym, gdy ojciec zgasił światło. Zawsze była w niej przygoda, niebezpieczeństwo, podniecające wydarzenia i podróże po okolicach Beaufort,

małego nadbrzeżnego miasteczka w Karolinie Północnej, jak i po samym miasteczku, w którym Travis Parker dorastał i które wciąż uważał za swój dom. Co dziwne, w większości tych opowieści występowały niedźwiedzie. Grizzly, niedźwiedzie brunatne, grizzly kodiackie... Tata nie był najlepiej zorientowany, jeśli chodzi o naturalne środowisko niedźwiedzi. Koncentrował się na jeżących włos na głowie scenach pościgu przez piaszczyste tereny nizinne, czego skutkiem były dręczące Trávisa koszmarne sny o rozwścieczonych niedźwiedziach polarnych na Shackleford Banks, aż mniej więcej do połowy gimnazjum. Jednakże bez względu na to, jak bardzo przerażały go te historie, zadawał nieuniknione pytanie: „I co było potem?”.

Tamte dni wydawały się Travisowi niewinną pozostałością innej epoki. Miał obecnie czterdzieści trzy lata i kiedy zostawiał samochód na parkingu szpitala Carteret General Hospital, gdzie jego żona pracowała przez większość ostatnich lat, przypominał sobie słowa, którymi kiedyś nieodmiennie wiercił dziurę w brzuchu ojcu.

Wysiadł z samochodu, biorąc kwiaty. Kiedy po raz ostatni rozmawiał z żoną, pokłócili się, a teraz uczyniłby wszystko, żeby móc cofnąć swoje słowa. Nie miał złudzeń, że kwiaty nic tu nie pomogą, ale żaden inny pomysł nie przyszedł mu do głowy. Rozumiało się samo przez się, że czuł się winny z powodu tego, co zaszło, lecz żonaci przyjaciele zapewniali go, że wyrzuty sumienia są kamie-

niem węgielnym każdego dobrego małżeństwa. To oznaczało, że sumienie działa, wartości pozostają w wielkim poszanowaniu, w miarę możliwości unika się przyczyn poczucia winy. Przyjaciele czasami przyznawali się do niepowodzeń w tej szczególnej sferze i Travis doszedł do wniosku, że to samo można powiedzieć o każdej parze, którą znał. Przypuszczał, że mówili to, by poprawić mu samopoczucie, by go uspokoić, że nikt nie jest doskonały, że nie powinien być dla siebie taki surowy. Wszyscy popełniają błędy, przekonywali go, i chociaż kiwał głową, jak gdyby im wierzył, zdawał sobie sprawę, że nigdy nie rozumieją, co przeżywa. Nie mogą. Przecież ich żony co noc śpią obok nich, nigdy nie byli rozłączeni na trzy miesiące, nigdy nie zastanawiali się, czy ich małżeństwo jeszcze kiedykolwiek będzie takie jak kiedyś.

Idąc przez parking, myślał o obydwu córkach, o pracy, o żonie. W tym momencie te myśli nie przynosiły mu pociechy. Miał uczucie, że nie wie mu się w żadnej dziedzinie życia. Ostatnio szczęście wydawało mu się równie odległe i niedosiężne jak podróż kosmiczna. Nie zawsze czuł się w ten sposób. Pamiętał, że przez bardzo długi czas był bardzo szczęśliwy. Lecz okoliczności się zmieniają. Ludzie się zmieniają. Zmiana jest jednym z nieuniknionych praw natury wyciskających piętno na życiu ludzi. Popełnia się błędy, odczuwa się żal, a pozostaje tylko coś, co sprawia, że zwykłe wstawanie z łóżka przychodzi z ogromnym trudem.

Pokręcił głową i podszedł do drzwi wejściowych szpitala, wyobrażając sobie, że jest tym dzieckiem, które słuchało kiedyś opowieści ojca. Pomyślał, że jego własne życie to historia, która powinna mieć szczęśliwe zakończenie. Kiedy kładł dłoń na klamce, jak zwykle w jego pamięci odżyły wspomnienia i żal.

Dopiero później, gdy znowu poddał im się bez reszty, pozwolił sobie zastanawiać się, co będzie dalej.

Rozdział 1

Maj 1996

— Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego zgodziłem się ci pomóc — burknął Matt, zaczerwieniony na twarzy, pchając wannę spa w stronę niedawno wyciętego kwadratu w drugim końcu tarasu na tyłach domu. Stopy mu się ślizgały, pot spływał z czoła do kącików oczu, szczypiąc niemiłosiernie. Było gorąco, znacznie zbyt gorąco na pierwsze dni maja. A już bez wątpienia cholernie za gorąco na taką gimnastykę. Nawet pies Travisa, Moby, ukrył się w cieniu i leżał tam z wywieszonym jęzorem, dysząc.

Travis Parker, który popychał ogromne pudło z boku, wzruszył ramionami.

— Ponieważ myślałeś, że to będzie niezły ubaw — odrzekł. Naparł na nie z całej siły i pchnął. Wanna — która musiała ważyć ze dwieście kilo — przesunęła się o kilka centymetrów. W tym tempie powinna znaleźć się na miejscu, och... gdzieś w przyszłym tygodniu.

— To idiotyczne — powiedział Matt, nacierając na kadełko całym ciężarem i myśląc, że przydałaby się para mułów. Ból pleców dobijał go. Przez chwilę wyobraził sobie, że urywa mu z wysiłku uszy, które wystrzelają z obu stron głowy niczym rakiety z butelek, które odpalali z Travisem, gdy byli dziećmi.

— Już to mówiłeś.

— I wcale nie jest to ubaw.

— To też mówiłeś.

— I nie będzie łatwo jej zainstalować.

— Właśnie, że będzie — zaprzeczył Travis. Wskazał na napis na pudle. — Widzisz? Tu jest napisane: „Łatwa w montażu”. — Ze swojego miejsca pod cienistym drzewem, Moby — rasowy bokser — zaszczekał, kiwając łbem na znak potwierdzenia, a Travis uśmiechnął się, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

Matt zmarszczył brwi, usiłując złapać oddech. Nienawidził tej miny przyjaciela. No cóż, nie zawsze. Zazwyczaj bardzo lubił jego bezgraniczny entuzjazm. Ale nie dziś. Stanowczo nie dziś.

Matt sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej bandanę. Była kompletnie mokra od potu, co, rzecz jasna, odbiło się na wyglądzie jego spodni. Wytarł nią twarz i wyżał szybkim ruchem. Pot kapał z chustki na wierzch jego buta jak woda z ciekącego kranu. Matt gapił się na to niemal jak zahipnotyzowany, aż w końcu poczuł, jak wilgoć przesiąka przez lekki siatkowy materiał, a palce

u nogi zaczynają mu się lepić. Po prostu cudownie, prawda?

— Jeśli dobrze sobie przypominam, zapewniałeś mnie, że Joe i Laird pomogą nam przy twojej małej inwestycji, Megan i Allison przygotowują hamburgery, napijemy się piwa, a zamontowanie tej rzeczy — no właśnie! — zajmie góra dwie godziny.

— Już jadą — rzekł Travis.

— Mówiłeś to cztery godziny temu.

— Są po prostu trochę spóźnieni.

— Może wcale do nich nie zadzwoniłeś.

— Oczywiście, że zadzwoniłem. I obiecuję, że przeprowadzą również dzieci.

— Kiedy?

— Wkrótce.

— Aha — mruknął z przekąsem Matt, wpychając bandanę z powrotem do kieszeni. — À propos... zakładając, że nie zjawią się wkrótce, to właściwie jakim cudem mamy we dwóch opuścić tego grzmota na miejsce?

Travis tylko machnął lekceważąco ręką, po czym po raz kolejny naparł na wannę.

— Coś wymyśliliśmy. Zobacz, jak świetnie poradziliśmy sobie do tej pory. Jesteśmy prawie w połowie drogi.

Matt znowu spojrzał na niego spode łba. To była sobota... sobota! Jego dzień odpoczynku, relaksu, jego szansa ucieczki od codziennej harówki, przerwa, na którą zasługuje po pięciu dniach pracy w banku, dzień, który

jest mu niezbędnie potrzebny. Na miłość boską, jest doradcą kredytowym! Powinien przekładać papiery na biurku, a nie przesuwając ogromne wanny! Mógłby w tej chwili oglądać mecz bravesów z dodgersami! Mógłby grać w golfa! Mógłby wylegiwać się na plaży! Mógłby pospać sobie dłużej z Liz, a potem pojechać z nią do jej rodziców, jak to było ich zwyczajem niemal w każdą sobotę, zamiast zrywać się bladym świtem z łóżka i ciurkiem przez osiem godzin pracować fizycznie pod piekącym południowym słońcem...

Zreflektował się. Kogo on próbuje oszukać? Gdyby nie było go tutaj, z pewnością spędziłby dzień z rodzicami Liz, co — jeśli miał być zupełnie szczery — było główną przyczyną, dla której przystał na prośbę Trávisa. Ale nie o to chodziło. Chodziło o to, że nie miał ochoty się z tym szarpać. Naprawdę nie.

— Nie mam ochoty się z tym szarpać — powiedział.
— Serio.

Travis zdawał się go nie słyszeć. Położył dłonie na wannie, przyjmując odpowiednią pozycję.

— Gotów?

Rozgoryczony Matt zapałł się ponownie ramieniem, nogi się pod nim trzęsły. Trzęsły! Wiedział już, że nazajutrz rano będzie potrzebował podwójnej dawki środka przeciwbólowego. W przeciwieństwie do Trávisa nie ćwiczył cztery razy w tygodniu w siłowni, nie grywał w kometkę, nie biegał, nie nurkował z akwalungiem na

Arubie, nie surfował na Bali, nie jeździł na nartach w Vail ani nie robił innych rzeczy, które robił jego przyjaciel.

— I to żaden ubaw, wiesz?

Travis puścił do niego oko.

— Już to mówiłeś, pamiętasz?

*

— No, no, no! — wydał okrzyk podziwu Joe, obchodząc dookoła ogromną wannę. Słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi, złociste smugi odbijały się od wód zatoki. W oddali czapła sfrunęła z kępy drzew i z wdziękiem ślizgała się po powierzchni, rozpraszając światło. Joe i Megan wraz z Lairdem i Allison przyjechali z dziećmi przed kilkoma minutami i teraz Travis pokazywał im swoją inwestycję. — Coś fantastycznego! Zrobiliście to wszystko dzisiaj we dwóch?

Travis skinął twierdząco głową, trzymając w ręku piwo.

— Nie było tak źle — powiedział. — Matt chyba nawet dobrze się bawił.

Joe rzucił krótkie spojrzenie na Matta, który leżał bezwładnie na fotelu ogrodowym na uboczu tarasu z mokrą chustką na głowie. Nawet jego brzuch — Matt zawsze był raczej okrągłych kształtów — wydawał się zapadnięty.

— Właśnie widzę.

— Była ciężka?

— Jak egipski sarkofag! — wychrypiął Matt. — Jeden

z tych cudów, które da się ruszyć wyłącznie za pomocą dźwigu!

Joe parsknął śmiechem.

— Czy dzieciaki mogą wejść do środka?

— Jeszcze nie. Dopiero ją napełniłem i trochę potrwa, zanim woda się podgrzeje. Ale dzięki słońcu nie będziemy musieli zbyt długo czekać.

— Słońce podgrzeje ją w ciągu kilku minut! — jęknął Matt. — W ciągu kilku sekund!

Joe uśmiechnął się szeroko. Ich trzech oraz Laird chodzili razem do szkoły od zerówki.

— Ciężki dzień, Matt?

Matt zdjął chustkę i spojrzał na Joego spode łba.

— Nie masz zielonego pojęcia. I dzięki, że zjawileś się w porę.

— Travis kazał nam być tu o piątej. Gdybym wiedział, że potrzebna wam pomoc, przyjechałbym wcześniej.

Matt powoli przeniósł spojrzenie na Trávisa. Czasami naprawdę nienawidził przyjaciela.

— Jak czuje się Tina? — spytał Travis, szybko zmieniając temat. — Czy Megan udaje się choć trochę pospać?

Megan gawędziła z Allison przy stole w drugim końcu tarasu i Joe zerknął przelotnie w jej stronę.

— Trochę. Kaszel już Tinie przeszedł i znowu przesypia całą noc, ale czasami odnoszę wrażenie, że Megan nie potrzebuje wiele snu. Przynajmniej od kiedy została

mamą. Wstaje nawet wtedy, gdy Tina nawet nie śpiewa. Można by pomyśleć, że budzi ją cisza.

— Jest dobrą matką — rzekł Travis. — Zawsze była. Joe odwrócił się do Matta.

— Gdzie jest Liz?

— Powinna dotrzeć tu lada chwila — odparł Matt zamierzającym głosem. — Odwiedziła dziś rodziców.

— Jak miło — zauważył Joe.

— Zachowuj się kulturalnie. To dobrzy ludzie.

— Przypomnę ci chyba, jak mówiłeś, że jeśli będziesz musiał jeszcze raz wysłuchać opowieści teścia o raku prostaty lub narzekań teściowej, że Henry po raz kolejny zostanie wylany z pracy, chociaż nie jest to jego wina, wsadzisz głowę do piekarnika.

Matt uczynił wysiłek, by usiąść prosto.

— Nigdy niczego takiego nie mówiłem!

— Owszem, mówiłeś. — Joe puścił oko, gdy zza rogu domu wyłoniła się żona Matta, Liz, z drepczącym przed nią Benem. — Ale nie martw się, nie pisnę słowa.

Wzrok Matta powędrował nerwowo od Liz do Joego i z powrotem do Liz. Usiłował zorientować się, czy jego żona coś słyszała.

— Witajcie wszyscy! — zawołała Liz z przyjaznym skinieniem, prowadząc małego Bena za rękę.

Udała się najkrótszą drogą do Megan i Allison. Ben wyrwał się i podreptał w stronę innych dzieci w ogródku.

Joe dostrzegł, że Matt wzdycha z ulgą. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu i spytał, zniżając głos:

— Czyli... teściowie Matta. To w taki sposób namówiłeś go, żeby przyszedł ci pomóc?

— Być może napomknąłem o nich — odrzekł ze złośliwym uśmieszkiem Travis.

Joe wybuchnął śmiechem.

— O czym gadacie, chłopaki? — zawołał Matt z podejrzliwą miną.

— O niczym — odkrzyknęli zgodnym chórem.

*

Później, gdy słońce zaszło i jedzenie zniknęło z talerzy, Moby zwinął się w kłębek u stóp Trávisa. Słuchając, jak dzieci pluskają się w ogromnej wannie, Travis poczuł, że ogarnia go uczucie zadowolenia. To był jego ulubiony sposób spędzania wieczoru, gdy odpoczywał wśród beztroskiego śmiechu i znajomego przekomarzania się. W jednej chwili Allison rozmawiała z Joem, w następnej gawędziła z Liz, a potem z Lairdem i Mattem. Podobnie było ze wszystkimi innymi, którzy siedzieli przy stole na tarasie. Nikt niczego nie udawał, nikt nie starał się nikomu zaimponować, nikt nie próbował nikogo ośmieszyć. Travis myślał czasami, że jego życie przypomina reklamę piwa, i na ogół był po prostu zadowolony, unosząc się na fali pozytywnych uczuć.

Co pewien czas kobiety jedna po drugiej wstawały, by

zajrzeć do kąpiących się dzieci. Laird, Joe i Matt natomiast ograniczyli swoje obowiązki wychowawcze do podnoszenia chwilami głosu w nadziei, że uspokoją dzieciaki i zapobiegną wzajemnemu dokuczaniu lub jakimś przypadkowym urazom. Oczywiście zdarzało się, że któryś z maluchów dostawał napadu złości, lecz większość problemów szybko rozwiązywano pocałunkiem w zardrapane kolano lub czułym uściskiem, który nie wprawiał dziecka w zakłopotanie.

Travis powiódł wzrokiem po siedzących przy stole, szczęśliwy, że jego przyjaciele z dzieciństwa nie tylko stali się dobrymi mężami i ojcami, lecz że nadal są częścią jego życia. Nie zawsze tak się dzieje. W wieku trzydziestu dwóch lat wiedział już, że życie bywa ryzykownym przedsięwzięciem, i przeżył wyjątkowo dużo wypadków i upadków. Niektóre z nich powinny były spowodować znacznie większe obrażenia ciała niż te, których doznał. Ale nie chodziło wyłącznie o to. Życie jest nieprzewidywalne. Wielu kolegów, z którymi dorastał, zginęło w kraksach samochodowych, ożeniło się i rozwiodło, uzależniło się od narkotyków lub alkoholu lub po prostu wyjechało z tego malutkiego miasteczka, ich twarze zatarty się już w jego pamięci. Jakie było prawdopodobieństwo, że czterech facetów — którzy znali się od zerówki — w dalszym ciągu będzie po trzydziestce spędzało ze sobą czas? Raczej niewielkie, pomyślał. Lecz jakimś sposobem przetrwali razem okres trądziku mło-

dzieńczego, kłopoty z dziewczynami, naciski rodziców, następnie wyjechali do czterech różnych college'ów, planując różną drogę zawodową, po czym kolejno wrócili do Beaufort. Przypominali raczej rodzinę niż przyjaciół, łącznie z zawoalowanymi wypowiedziami i wspólnymi przeżyciami, których żadna osoba postronna nigdy nie mogła w pełni zrozumieć.

I, o dziwo, żony również świetnie się ze sobą dogadywały. Pochodziły z różnych środowisk i z różnych części stanu, lecz małżeństwo, macierzyństwo i niekończące się małomiasteczkowe plotki dostarczały aż zbyt wielu powodów do regularnych rozmów telefonicznych i powstania więzi uczuciowych jak między dawno niewidzianymi siostrami. Laird ożenił się pierwszy — wzięli ślub z Allison latem, po ukończeniu Wake Forest. Joe i Megan stanęli na ślubnym kobiercu rok później, po tym jak zakochali się w sobie na ostatnim roku studiów na University of North Carolina. Matt, który studiował na Duke, poznał Liz tutaj, w Beaufort, i pobrali się po upływie roku. Travis był drużbą na wszystkich trzech ślubach.

Oczywiście sytuacja trochę się zmieniła w ciągu ostatnich kilku lat, głównie z powodu pojawienia się nowych członków rodziny. Laird nie zawsze mógł wybrać się na wyprawę na górskim rowerze, Joemu nie udawało się jak kiedyś wyjechać pod wpływem impulsu z Travisem na narty do Kolorado, a Matt prawie zrezygnował z dotrzymywania mu kroku w większości spraw. Ale Travis

nie miał o to najmniejszej pretensji. W dalszym ciągu znajdowali dla siebie wzajemnie czas i bez planowania spędzał z nimi większość weekendów.

Pograżony w myślach Travis nie zorientował się, że przy stole zapadła cisza.

— Czy coś przegapiłem?

— Pytałam, czy rozmawiałeś ostatnio z Monicą — odparła Megan tonem, który jasno uświadomił Travisowi, że znalazł się w tarapatach. Uważał, że cała szóstka przyjaciół zbyt żywo interesuje się jego życiem intymnym. Kłopot z żonatymi lub zamężnymi osobami polega na tym, że ich zdaniem wszyscy znajomi powinni wstąpić w związek małżeński. Każda kobieta, z którą spotykał się Travis, była poddawana subtelnej, choć surowej ocenie, zwłaszcza przez Megan. To ona zwykle była prowodyrem w takich chwilach jak ta, zawsze starając się rozgryźć, co najbardziej pociąga Trávisa w kobietach. A Travis, oczywiście, wręcz uwielbiał działać jej w rewanżu na nerwy.

— Ostatnio nie — odpowiedział.

— Dlaczego? Jest sympatyczna.

Jak również w dużej mierze neurotyczna, pomyślał Travis. Ale nie o to chodzi.

— Zerwała ze mną, zapomniałaś?

— I co z tego? To bynajmniej nie oznacza, że nie chce, żebyś do niej zadzwonił.

— A ja sądzę, że właśnie oznacza.

Megan, Allison i Liz wpatrywały się w niego, jak

gdyby był kompletnym tumanem. Mężczyźni, jak zwykle, wyraźnie mieli dobrą zabawę. Należało to do rytuału ich wieczorów.

— Ale kłóciliście się, tak?

— No to co?

— Czy przeszło ci kiedykolwiek przez myśl, że zerwała z tobą po prostu dlatego, że była na ciebie zła?

— Ja też byłem zły.

— Dlaczego?

— Chciała, żebym umówił się na wizytę z psycho-
terapeutą.

— Niech zgadnę, powiedziałaś, że nie potrzebujesz
psychoterapeuty.

— W dniu, kiedy będę go potrzebował, zobaczycie,
jak podkasuję spódnicę i robię szydełkiem szalik.

Joe i Laird parsknęli śmiechem, Megan natomiast uniosła brwi. Wszyscy wiedzieli, że Megan niemal co-
dziennie ogląda talk-show Oprah.

— Wydaje ci się, że mężczyźni nie potrzebują terapii?

— Wiem, że ja nie potrzebuję.

— A generalnie?

— Nie jestem generałem, toteż naprawdę nie potrafię
powiedzieć.

Megan odchyliła się na oparcie krzesła.

— Myślę, że Monica może coś wiedzieć na ten temat.
Gdybyś chciał znać moje zdanie, to masz problemy
z emocjonalnym zaangażowaniem się.